

Czeremcha

Jaki to dzień? Odkąd tu jest, zupełnie straciła rachubę czasu. Dni stały się takie podobne. Nic, tylko szum dębu nad głową i czeremchy, co właśnie kwitnie. Podobna rośla u niej w ogrodzie, ale kiedy to było?

Postanawia, że pójdzie nad rzekę. Trzeba przejść przez małą, skrzypiącą furtkę w ogrodzeniu. Nie wiadomo, po co ją zrobiono. Za nią są tylko pokrzywy, rzeka i rozłożone w oddali osiedle domków jednorodzinnych. Ponoć za Niemców był tu kamienny mostek dla pieszych. Wygięty w łuk rozpiął się nad wodą jak tęcza. Taki sam był u niej w wiosce, tam, gdzie się urodziła, tylko jej rzeka płynęła żwawiej. Źródło miała w niedalekich górach i ludzie zwykli mówić o niej, że jest młoda i dlatego taka rozbrykana. Niejednemu wiosną dom podtopiła. Bywało, że zalała łąki, i krowy brodziły w niej zanurzone po kolana. Z łatwością wylewała, ale też szybko opadała, zostawiając za sobą łąn wyczesanych traw.

Ta tutaj jest spokojna. Płynie jakby od niechcienia, a zarośnięte brzegi pachną mułem i trzciniami, ale ona lubi to miejsce i ścieżkę, która biegnie wzdłuż ogrodzenia. Mało kto tędy chodzi. Czasem wędkarz zaszywa się w jednej z zatoczek, lecz na nią nie zwraca uwagi. Ona może się kręcić tam i z powrotem, nawet przysiąść obok na zwalonej kłodzie i wraz z nim wpatrywać się w spławik. Zdarza się, że milczą tak razem godzinami.

Mur kończy się przy kępie olch, a dalej rozciąga się podmiejski las. Nic szczególnego, zwykła drągowina pełna klonów, lip i dzikich czereśni. Nie to, co las za jej wioską. Tamten już od okrajka pachniał grzybami. Na przedzie przy piaszczystej drodze rosły maliny. Małe były, niepodobne do tych ze sklepu, ale jak pachniały! Jakby ktoś słoik konfitur otworzył. Ona i brat siedzieli w nich cali podrapani i z umorusanymi buziami. Matka kręciła się wzdłuż rowu, szukając kani i maślaków. Maślaki były do marynowania, ale kilka zostawiała też do porannej jajecznicy. Z kani robiła kotlety i te smakowały zupełnie jak z mięsa.

Tutaj przychodzą tylko właściciele psów. Młody chłopak z labradorem, pani z małym kundelkiem i ta z owczarkiem, która chyba trenuje do wyścigu, bo nawet pies ledwo za nią nadąża. Ona jest im obojętna. Żadne ani na nią nie spojrzę. Mijają ją w pędzie albo zapatrzeni w telefony. Czasem nachodzi ją ochota, by spłatać im jakiegoś figla.

Przydeptuje patyk, który rzucił tamten chłopak, a labrador krąży wokół niej zadziwiony, że niczego nie może wywąchać.

Dzisiaj jest pusto. Taki upał, że pewnie wszyscy wyjechali za miasto. Jutro przyjdzie ten ornitolog. Obserwuje ptaki i nieraz sterczy tu z zadartą głową albo przysiada na kłodzie i słucha ich z przymkniętymi oczami. Ponoć łatwiej jest je znaleźć po odgłosach. Niektóre są takie małe, że w gałęziach trudno je wypatrzeć, a tak wie przynajmniej, gdzie szukać.

Ona też przysiada czasem na pieńku i próbuje zgadnąć, co to ćwierka. Ornitolog nigdy nie zwraca na nią uwagi. Zbyt jest zajęty, zresztą jak cała reszta.

Zmęczyła się tym spacerem. Pora wracać. Zajrzy jeszcze tylko do zatoczki, by sprawdzić, czy wędkarz coś złapał. Tęskni za rybą na obiad. Ojciec przynosił najlepsze. Nie leszcze pełne ości, on się zasadzał na sandacze. Sporo ich było w jeziorze za lasem, ale potem ktoś wykupił teren i czepiali się, gdy łowił bez pozwolenia. Tak, smaku tamtych ryb nie zapomni do końca świata. Mięso pyszne, soczyste, że niebo w gębie.

Ten tutaj nadal ma puste wiadro. Zbiera się pomału i ona też wraca już do siebie. Lubi swoje miejsce – dąb, co tak często szumi, i czeremchę, która właśnie zakwitła. Taka pora, że chętnie by się położyła, ale córka akurat przyszła. Taszczy te znicze, te kwiaty i zaraz zacznie pomnik szorować, a przecież tyle razy jej powtarzała, że ona woli zwykły kopczyk ziemi albo prostą, kamienną płytę.